

— krew! ten złodziej marszałek ma długie ręce. Ej, ta spółka z księciem nie wyjdzie mi na zdrowie.

— Co ty wciąż bajesz o spółce z księciem?
— Potem, potem. Dowiesz się, czemu nie. Ale co teraz począć? Jak mnie oddadzą Wurmowi, to po mnie. A nuż ten złodziej zwącha i to, co się stało z Kronbergową?

— Ludwiś! Cicho. Górą nasza. Ja tu nie darmo trzy dni siedzę. Mnie też nie pilno stąd, bo jak mnie zawiozą do stolicy, to i po mnie. Ta pokraka nocna mnie pozna i gotowi mnie schować do ula, a toby mi popsulo interesa. Ale niedoczekanie ich. Ludwiś. Słuchaj. Uciekniemy.

— Waryat!
— Nie waryat, ale Edek, mądry Edek. Chodźże, różnie. No, jeszcze, tak. Teraz namacaj; coś nacał?

— Niby deski.
— A deski. Zgadłeś. A wiesz ty jakie? O... nie wiesz. Od komina. Oblepili, obielili i myśleli, że nigdy nie znajdzie się mądry, co je ujrzy. A to głupie było w tych stronach, że się nikt na tem nie poznał. Jużem zazierał i zobaczyłem, że można gładko kominem na dach wyjechać. To chałupa bez piątra, za nią ogródek, a za ogródkiem lasek. Górą nasza.

— Edek, z ciebie zuch.
— Oczywiście.
— A cóż ty poczniesz potem?
— Fiu, mam wielki plan. Muszę już raz wyjść na pana. Widzisz umyśliłem sobie powrócić do stryja, żeby coś dostać. A może się tam uda jaki interes?

— Jakże pojedziesz bez parady?
— Niby co?
— A no, jeżeliś obdarty, to cię stryj wyrzuci. Dobra twoja myśl, ale trzeba robić mądrze.

— Przed dwoma laty napisałem do stryja, że jadę do Ameryki. Przysłał mi pieniędzy na drogę. Teraz umyśliłem sobie wrócić do niego z Ameryki.
— To dobrze, ale wrócić niby z dorobkiem, niby porządnie i przystojnie.

— Ba, nie ma za co.
— Będzie. Ja mam. Ja ci dam. Ustroję cię. Ale wiesz co? ja tu nie mam co robić, to pojedę z tobą. Będę niby bogaczem amerykańskim, co chce kupić majątek. Ja ci tam we wszystkim pomogę. Gdy zrobimy ze stryjaszkiem interes, to mi oddasz.

— Doskonale. Górą nasza!

* * *

Nazajutrz rano gwałt powstał wielki w miasteczku, że dwóm niebezpiecznym opryszkom udało się uciec kominem z więzienia.

Wyznanie.

Miesiące prędko upływały, jeden za drugim a Ryszard nie mógł otrząść się z tęsknoty za matką, z żałoby za Hanią i ze wstydu, że u znanych ludzi przebywa pod obcym nazwiskiem. Stosunek z Freudenbergami stawał się coraz serdeczniejszy, coraz poufalszy, więc tem bardziej dręczyło to Ryszarda, iż ukrywać się musi. Kilkakrotnie zapędzał się, by wyznać wszystko, ale żał mu było nie siebie, lecz dobroczyńców, bo mniemał, że im największą wyrządzą przykrość, że nie uwierzą w jego niewinność, że doznają dotkliwego rozczarowania.

Freudenberg poznał dopiero teraz, czem jest uczciwa pomoc w gospodarstwie. Dochody się mnożyły, porządek we wszystkim wzrastał, we wszystkim był rygor, ale i uprzejmość. Ryszard miał dla podwładnych żelazną rękę, w aksamitnej rękawiczce. Rozum i serce łączyły się w nim harmonijnie, energia ze spokojem, zapał do pracy z wytrwałością, rzutność i pomysłowość z rozważą.

W dalsze okolice rozchodziła się sława młodego gospodarza i zaczęto go zazdrościć Freudenbergom. Oczywiście, że to Ryszarda cieszyło, ale nie usuwało smutku, tęsknoty, żałoby. Największą radość sprawiał mu listy matki, wyczekiwał ich też zawsze z upragnieniem.

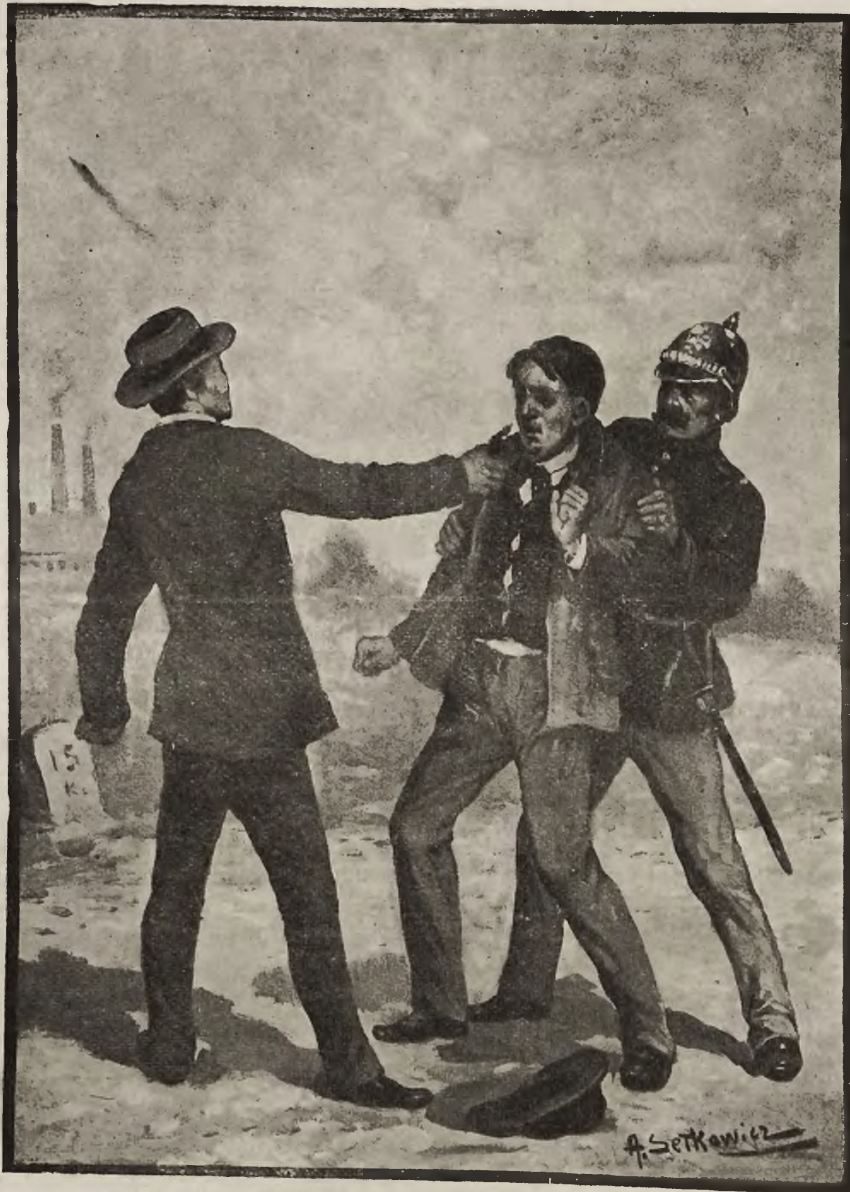
Pewnego dnia otrzymał list grubszy, niż zwykle. Wziąwszy go do ręki, lękał się czy może już nie spełniło się nieszczęście, którego matka wyczekiwała, czy nie odebrano jej Adlersfeldu. Z obawą też zabrał się do czytania, ale wnet rozjaśniło mu się oblicze i ogromne zadowolenie rozlało mu się na twarzy.

A więc jest nadzieja, że zdejmą hańbę z jego nazwiska, a więc są już na tropie istotnego mordercy! Był to list, który baronowa napisała po bytności komisarza Greifa. Tak się uradował tym listem, że aż Freudenbergowie spostrzegli zmianę

w jego usposobieniu. Całą noc nie spał, bo rozbudzone nadzieje nasuwały mu ponętne złudzenia, że za lada godzinę sprawa się wyjaśni, że sąd orzeknie o jego niewinności, a zbrodniarza ukarze, że to już, już za chwilę nastąpić musi.

— Co się paniczowi stało — rzekł Hans do Freudenberga, przyszedłszy zrana do jego gabinetu. Widziałem w nocy światło w jego pokojach, więc poszedłem zobaczyć, czy nie chory. Zdrów był, chodził, prawie biegał po pokoju i podnosił oczy w górę, jakby się modlił, to ręce do modlitwy składał, to znowu śmiał się do siebie samego. Potem siadł nagle, zasłonił twarz rękoma i wzdychał ciężko, a kilka razy wyrwało mu się przy tem: „Haniu! Haniu!“ Tak biedactwo nie może zapominać swej żony. Ale czemu on się tak śmiał, tak cieszył? Możeby po doktora posłać?

— Hm, hm — to dziwne, doprawdy dziwne. Sam już dostrzegłem zmiany. Dobry z ciebie człowiek Hans, że pilnujesz barona. Cieszy mnie to, dziękuję ci. Po doktora jeszcze nie poszlemy, dopóki się nie rozmówię z baronem. Może to z tego listu taka radość, co go wczoraj dostał. Hm, hm. No, dobrze. A co? prawda? uczciwy człowiek? ha?



.. szarpnął nieznajomy robotnika za brodę i oderwał ją łatwo.

— Oj co uczciwy, a chwat, to prawda. To prawdziwy pan. Gdyby żył nasz panicz, toby się do siebie nadali, jakby jakie bliźniaki.

— A no, rzeczywiście.

W godzinę potem, gdy siedziano przy herbacie, zaczął Freudenberg rozpytywać Ryszarda w sposób delikatny o to wszystko, czego się dowiedział od Hansa. Ryszard mówił, że go wiadomości z kraju tak ucieszyły.

— Miałem serdecznego przyjaciela — mówił — przyjaciela, którego znałem na wskroś i wiedziałem, że był uczciwym i honorowym. W okolicy popełniono morderstwo na osobie bogatej, a że mój przyjaciel był właśnie u niej w sprawach rodzinnych na chwilę przed popełnieniem zbrodni, jego o to posadzono i uwięziono. Teraz właśnie pisze do mnie matka, że policja wpadła na trop istotnego mordercy i że wnet spadnie hańba z nazwiska mego przyjaciela.

— W jakiż sposób mogły się były władze dopuścić takiej pomyłki, że uwięziły niewinnego człowieka? — zapytała Freudenbergowa.

— Przyjaciel mój zdjął w przedpokoju płaszcz, w którym zostawił sztylet. Ow sztylet nosił przy

sobie raczej jako pamiątkę, niż jako broń. Wychojąc potem, gdy płaszcz na siebie wdziewał, nie dostrzegł, że sztyletu w nim nie było; zobaczył to w domu dopiero i był pewien, że po drodze tę pamiątkę zgubił. Natychmiast po wyjściu mego przyjaciela z domu ofiary, zbrodnia spełniona została, a ów sztylet znaleziono tkwiący w piersi zamordowanej osoby. Komisja sądowa oparła obwinienie na tem corpus delicti i uwięziła mego przyjaciela. Jasne było, że sprawca był zaczajony i wyjął ów sztylet z płaszcza, a skoro tylko przyjaciel mój wyszedł, on wpadł do pokoju swej ofiary, zamordował ją i sztylet umyślnie zostawił, aby skierować podejrzenie na kogo innego. Należało rozwinąć śledztwo obiektywnie, a nie upierać się przy powziętej fałszywej kombinacji.

— Owa komisja składała się zapewne z ludzi bardzo płytkich — rzekł Freudenberg. Prawnikiem nie jestem, ale prosty rozum wskazuje, że podstawą posądzenia musi być znać omość charakteru ludzkiego, a nie jakiś martwy corpus delicti. A to biedny człowiek! Ile to bywa takich strasznych omyłek sądowych! Pamiętam i ja podobną sprawę z moich młodych lat i to mnie nauczyło, abym nie rzucał nigdy kamieniem potępienia bez dowodów, abym nie był skory do podejrzeń.

— Widać, że bardzo kochasz swego przyjaciela, skoro cię owa wiadomość tak bardzo uszczęśliwia, wtrąciła Freudenbergowa, spoglądając na Ryszarda domyślnym wzrokiem kobiecym.

— Kocham jego, ale bardziej cześć jego nazwiska i spokój tych, którzy go otaczają miłością, odpowiedział Ryszard.

— Jak się nazywa ten przyjaciel? — spytała Freudenbergowa.

Ryszard zapłonił się, zmieształ i rzekł:

— Czy państwo wierzyacie wraz ze mną w jego uczciwość?

— Wierzymy najzupełniej, jak w pocziwość twoją. Gdyby na ciebie wydano dziesięć takich wyroków, nazwalibyśmy je zbrodniczą omyłką lub podłym oszczerstwem — mówiła Freudenbergowa znacząco — i dodała z naciskiem:

— Wierzymy też wraz z tobą, w niewinność twego przyjaciela. Czy tak mężu?

— Ależ tak, tak. Gdy Ryszard powie, to rzecz święta.

— A więc czy chcesz nam powiedzieć nazwisko? — spytała ponownie Freudenbergowa.

— Baron Adlersfeld — odpowiedział Ryszard głosem drżącym i spuścił oczy.

Freudenbergowie spojrzeli na siebie zdumieni.

— Adlersfeld! — zawołał Freudenberg.

— Tak — dodał Ryszard z rezygnacją.

— Na imię mu Ryszard — szepnęła Freudenbergowa.

— Ryszard! — odpowiedział jak stłumione echo.

Nastąpiła chwila milczenia. Ryszard wreszcie podniósł głowę i odzyskawszy męską energię, zapytał:

— Czy wierzycie w uczciwość moją? czy wierzycie, że nie dopuścił się zbrodni?

— Chodźno tu, niech cię uściskam, jako krewniaka — rzekł Freudenberg. Jeszcześ mi teraz droższy, bo ja to wiem, że tam były jakieś rodzinne krzywdy, które też wynagrodzić trzeba, a tyś teraz jedyny z Adlersfeldów. No — chłopcze, nie smuć się — do góry głowa.

— Bóg sprawiedliwy pomoże wykryć zbrodniarza — rzekła Freudenbergowa, a tymczasem nie czyniła ci wyrzutu, żeś się nie odsłonił przed nami. Rozumiem i oceniam powody i skrupuły.

O tem wyznaniu zachowano tajemnicę nawet przed Hansem, aby się ta sprawa nie rozgłosiła przed schwytaniem istotnego mordercy.

* * *

C. d. n.